Wojciech Stanisławski: Hipokrates tańczący (jak niedźwiedź)

Z uzdrawianiem planety nie do końca wiadomo, pyralgina, nawet w dużych dawkach, może nie powstrzymać globalnego ocieplenia, przykładanie stetoskopu do trawnika przed domem też prędzej pozwoli wykryć nornice niż rabunkowe metody eksploatacji metali rzadkich – pisze Wojciech Stanisławski w nowym felietonie z cyklu „Barwy kampanii".

„My, studenci wydziału lekarskiego, stojący na ziemiach zamieszkałych ongi przez ludy specjalizujące się w ceramice wstęgowej rytej, przez Alanów i Swewów oraz prosty, słowiański lud pańszczyźniany…". Trochę osobliwie brzmi taki fragment pradziejowo-etnograficzny w formule przyrzeczenia, składanego przez medyków; ale kto wie, może niedługo to właśnie przyjdzie słyszeć przełykającym łzy wzruszenia rodzinom?

Krewni studentów wydziału medycyny University of Minnesota mają szczęście doświadczać tego już dziś. W sierpniu br., podczas dorocznej ceremonii „obłóczyn" rozpoczynających studia przyszłych lekarzy (tzw. White Coat Ceremony, popularna na amerykańskich uczelniach od lat 80.) młodzież pobierająca nauki na Twin Cities Campus złożyła bardziej niż zwykle rozbudowane ślubowanie. Dzięki inicjatywie kilkunastu aktywistów z zawiązanej *ad hoc* komisji, przeszło 150 studentów mogło pominąć tradycyjne zobowiązania do poszanowania chorego, jego zdrowia i tajemnicy, do służby zdrowiu i życiu ludzkiemu, do ochrony godności stanu lekarskiego. Ta formuła, wędrująca od pitagorejskich uczniów Hipokratesa, od manuskryptu z Oksyrynchos, przez pokolenia medyków różnego stanu, aż po rok 1948, gdy przyjęto Deklarację Genewską, najwyraźniej się wyczerpała.

Oczywiście, ewoluowała już wcześniej. Współczesną deklarację, w oparciu o którą powstało i polskie Przyrzeczenie Lekarskie, Światowe Stowarzyszenie Lekarzy przyjęło pod wpływem napływających z sal

sądowych Norymbergi informacji o nazistowskich eksperymentach medycznych, w przekonaniu, że antyczne sformułowania wymagają podkreślenia wymiaru godności pacjenta i służby ludzkości. Deklaracja Genewska była zresztą zmieniana kilkukrotnie, najbardziej dalekosiężna jest trzecia poprawka przyjęta w roku 1994, kiedy to w zdaniu „zachowam bezwzględny szacunek dla ludzkiego życia" usunięto człon „od chwili poczęcia". W miejsce szacunku dla „odwiecznych praw ludzkości" pojawiły się nowocześniej brzmiące „prawa obywatelskie i prawa człowieka", gdzie indziej dodano obowiązek poszanowania własnego zdrowia i dobrostanu przez medyków – zasadniczo jednak przysięga skupia się na relacji lekarz-pacjent, na dobru tego ostatniego i kompetencjach tego pierwszego. I tu właśnie, za sprawą aktywistów z University of Minnesota, doszło do poważnej zmiany.

Studenci, którzy mają zakończyć swe studia w roku 2026, już wiążąc troczki swego fartucha, przepraszają za *white supremacy*, czyli przewagę białej rasy (warto zastanowić się, czy nazwa całej uroczystości nie brzmi w tym kontekście nieco subwersywnie), za kolonializm, stosowanie „reguł binarnych", gdy mowa o płci (tu zresztą nieco się chyba zapędzili: w Stanach krytykowana jest często teza o istnieniu biologicznej płci męskiej i żeńskiej natomiast *gender binary*, anatemizowana w przysiędze, praktycznie nie występuje, nawet rednecki z Alabamy zdają sobie sprawę z istnienia genderowego spektrum) i generalnie, hurtem, za wszelkie formy opresyjności. Zobowiązują się też do aktywnego promowania kultury antyrasistowskiej, do uzdrawiania – ja nie żartuję – planety oraz do głębokiego szacunku dla wszystkich metod uzdrawiania stosowanych przez „ludy tubylcze" (*indigenous people*), dotąd marginalizowanych przez złą Medycynę Zachodnią; w przypadku Uniwersity of Minnesota, jak precyzuje przysięga, chodzi o kompetencje Dakotów i Odżibwejów.

Oczywiście, złośliwi komentatorzy zawsze znajdą dziurę w całym i, za nic mając głęboką potrzebę sprawiedliwości, którą kierowali się autorzy przysięgi, będą się czepiać. Tym łatwiej im to przyjdzie, że rzeczywiście, niełatwo w pierwszym momencie zrozumieć, jak kierować się kulturą antyrasistowską w codziennej terapii na przykład chorób wewnętrznych. Może chodzi o formułę antydyskryminacyjną przy ustalaniu kolejności oczekiwania na dializę, a może sprawę załatwi po prostu kolor otoczki cukrowej lub żelatynowej, stosowanej w przypadku

> *Młodzi medycy zobowiązują się do promowania kultury antyrasistowskiej, do uzdrawiania planety oraz do głębokiego szacunku dla wszystkich metod uzdrawiania stosowanych przez „ludy tubylcze”*

większości tabletek. Z uzdrawianiem planety też nie do końca wiadomo, pyralgina, nawet w dużych dawkach, może nie powstrzymać globalnego ocieplenia, przykładanie stetoskopu do trawnika przed domem też prędzej pozwoli wykryć nornice niż rabunkowe metody eksploatacji metali rzadkich; te zalecenia wymagają jeszcze szeregu wskazówek praktycznych.

Mnie najbardziej jednak poruszył nakaz głębokiego szacunku dla metod uzdrawiania stosowanych przez ludy tubylcze. I wierzę, że nie jestem w tym sam, w końcu trylogia „Złoto Gór Czarnych” Krystyny i Alfreda Szklarskich miała kilkanaście wydań i ze dwa pokolenia wzorowały się nie tylko na Małym Rycerzu, lecz i na dzielnym Tehawance. A skoro tak, pamiętamy:

„Na zakończenie ceremonii szaman wykonał taniec niedźwiedzia, po mistrzowsku naśladując jego chód i głos, po czym wrzucił do ogniska garstkę tytoniu i ziaren kukurydzy na ofiarę. Z kolei wydobył kilka gałązek suchej, dzikiej szałwii, zapalił je i ich dymem okadził Tehawankę. Wreszcie przykucnął przy chorym. Przyłożył do jego piersi mały kamienny nóż. Dwoma wprawnymi ruchami ręki wykonał dwa dość głębokie ciecia w kształcie litery X na piersiach Tehawanki, a następnie przytknął usta do krwawiącej rany. Zaczął ssać szybko i delikatnie. Dopiero po czwartej próbie podniósł się i wypluł na dłoń pazur niedźwiedzi. Z dumą pokazał go najpierw Tehawance, a potem obydwu kobietom”.

Tak było. I tak może się stać już niebawem. Owszem, studia młodych medyków z University of Minnesota nadal będą wymagały wiele wysiłku – samo mistrzowskie opanowanie chodu i głosu niedźwiedzia będzie

wymagało trochę czasu, a przecież jest jeszcze kwestia doboru talizmanów, rozpoznawania, jakie przewiny przodków winne są chorobom i zniekształceniom ciała noworodków, no i ścisłego izolowania miesiączkujących kobiet (to jeden z podstawowych nakazów społecznych u Odżibwejów). Trochę czasu może też zająć pozbycie się resztek supremacyjnych przesądów Zachodu w rodzaju „podwójnej ślepej próby" i innych reliktów kolonialnej metodologii medycznej. Wierzę jednak, że ostatecznie procesowi marginalizacji mądrości ludów tubylczych uda się położyć kres i małe kamienne noże powrócą do łask.

Pytanie, jak długo przyjdzie czekać na podobne zmiany na polskich uczelniach medycznych? Czerpać jest z czego, potrzeba tylko trochę dobrej woli: na wydziale lekarskim Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego można by sięgnąć do mądrości plemion pruskich (Kronika Piotra z Duisburga opisuje fascynujące wyniki stosowania wywaru z jagód jemioły), młodzi medycyny z Białegostoku mogą posiłkować się wiedzą Jaćwingów, szeroko znanych z wykorzystywania mchu w leczeniu niektórych przypadków cukrzycy insulinoopornej typu 2. Reszcie studentów przyjdzie czerpać ze spuścizny zaświadczonej u Bystronia i Kolberga; ale i tam znajdzie się dla chętnych dość mądrości.

Ta zmiana przyjdzie, trzeba tylko poczekać, aż refleksja *woke* mocniej zakorzeni się i na polskich ziemiach. Jeśli można coś podpowiedzieć nadchodzącym rocznikom reformatorów, ładnym i bardzo stosownym gestem byłyby na przykład uroczyste (choć, jak zawsze w takich okolicznościach, mocno spóźnione) przeprosiny wszystkich małopolskich ofiar strukturalnej przemocy, stosowanej przez prof. Józefa Dietla wobec posiadaczy kołtuna. Liczba mężczyzn, kobiet i dzieci, których przemocą pozbawiono tego przymiotu lub odmówiono im pomocy, jest (podobnie jak w przypadku ofiar katolickiego szkolnictwa w Kanadzie) bliżej nieznana, z pewnością jednak idzie w dziesiątki tysięcy.

A potem już powinno pójść z górki: okadzanie, szeptuchy, oczyszczanie jajem – wszystko to jest w zasięgu ręki i może przytrzeć rogów pyszałkowatym immunologom i radiotechnikom. A jeśli naprawdę uda się uporać z traumami, których doświadczył lud wieśniaczy ze strony dominującej kultury patriarchalnej – kto wie, może przyjdzie czas na poświadczoną w pismach Bolesława Prusa rozalkoterapię?